

Z nieba jasnego piorun

Piotr Kosmala

*Nie trwoga, nie zemsta pchać nas winna, lecz płomiennie
wołanie Matki Ojczyzny o pomoc i ratunek.*

Aleksander kard. Kakowski, 7 sierpnia 1920 r.

*Wystuchałem modlitwe twoje i obrałem to miejsce sobie
za dom ofiary.*

z Krn 7, 12 [z tablicy Kolegiaty Przemienienia Pańskiego w Radzyminie]

o p o -
w i a -
d a n i e

Warszawa, 17 sierpnia 1920 r.

Nerwowo otwierał szuflady, pakował ostatnie drobiazgi. Dużo tego nie było, akurat żeby zmieściło się do sporej brązowej walizki.

Przesunął łóżko, zajrzał w zakurzone kąty. Coś zabłyszczało między deskami podłogi, mały srebrny krzyżyk. Podniósł go delikatnie, odruchowo pocałował, potem jakby przypominał sobie o czymś i odrzucił go na stolik. Po chwili wziął go jednak jeszcze raz do ręki i delikatnie włożył do walizki. „Prawie wszystko”, pomyślał i spojrzął na szafę. Stała w kącie pokoju, prosta, ale solidna. Podeszedł do niej powoli, jakby z obawą, wolno otworzył skrzypiące drzwi. Biel odcinała się od czerni, na dwóch wieszakach wisiała biała, może już lekko poszarzała komża, obszyta ładną koronką. A obok niej czarna sutanna, też może nie najnowsza, ale wciąż jeszcze wyglądająca przyzwoicie, poważnie. Przejechał dłonią po delikatnych zagnieceniach, strzepnął odrobinę kurzu. Potem szybkim ruchem zdjął oba wieszaki, zwinął okrycia w kłębek i wrzucił do walizki, gwałtownie zatrzaskując wieko. „Wszystko”, pomyślał, „teraz to już wszystko”. Podniósł bagaż z podłogi, nie był ciężki. Bo i dużo rzeczy tam nie było, trochę papierów, bielizna, koszule, no i jeszcze ta sutanna.

Spojrzał za okno, dzień powoli się budził. Wolskimi ulicami szli do pracy pierwsi robotnicy, żwawo, jakby chcieli stąd uciec, jakby nie doszły do nich wiadomości z wczorajszego dnia, jakby sierpniowy upał, który nijak nie chciał zelżeć, impregnował na wszelkie zewnętrzne okoliczności cały człowieczy los i całą biedę – jego i ich.

Zgarnął ze stolika klucz i podszedł do drzwi. Jeszcze raz spojrzeniem omiół pokój.

– Nic tu po mnie – powiedział na głos.

Wczoraj zastanawiał się, czy w skrytce nie zostawić listu dla towarzysza Emila, wytłumaczyć, dlaczego musi wyjechać, ale przecież tamten i bez tego zrozumie, że to już koniec. Że nie ma już dla nich nadziei. Że nędza i wyzysk będą trwać i trwać, a takimi jak oni znowu zapełnią więzienia bez sprawiedliwych wyroków i prawa do obrony. Że pańska Polska pozostanie pańską, nawet jeśli nie na zawsze, to jeszcze na bardzo długo, a ci, którzy walczyli o Polskę chłopską, będą musieli ciągle uciekać, zanim w ich drzwi załomocą policmajstry. On w każdym razie czekać nie zamierzał, znał beznadzieję więzienia, po co mu to znowu? A zresztą... W walizce pod koszulami było coś jeszcze, wierny przyjaciel z Tarnobrzega nie pozwoli mu już trafić za kratki.

Tarnobrzeg, 8 stycznia 1919 r.

Stali w grupkach, pokrzykiwali do siebie, zacierali na mrozie dłonie i palili. Same chłopcy, bez bab, ponoć najlepsi synowie tej ziemi, zakład przy zakładzie, wieś przy wsi, wszyscy ubrani jak do kościoła w niedzielę. Zresztą był wśród nich przecież i ksiądz, w czarnej sutannie pod czarnym płaszczem, jeszcze młody, ale swoje już widział, swoje wiedział, no i był swój chłop.

Czy na coś czekali? Chyba sami dokładnie nie wiedzieli. Kiedy ostatnio przyjechał do nich starosta z policją, popędzili ich kłonicami, policjanci potracili czapki i rewolwery. Mieliby przyjeżdżać jeszcze raz? A po co? Żeby znów zebrać po mordzie, pyszni i pańscy, pełni frazesów o nowej Polsce? Takiej Polski oni nie potrzebowali, mieli swoją republikę, jak towarzysze w Rosji czy w Niemczech. Chłopską i sprawiedliwą. Co mogli im zaoferować starosta z wojewodą poza marnymi obietnicami bez pokrycia? Czy

dotrzymałby słowa stary Tarnowski, wyzyskiwacz i krwio pijca, kat bez serca nie tylko dla chłopstwa, ale nawet dla własnej rodziny?

To na co liczyli? Jeżeli już, to że ta nowa Polska będzie także ich. I że obok ich republiki powstaną kolejne, pińczowska, sandomierska, a w końcu może i krakowska, kto wie? Nie będą głodni ani oni, ani ich dzieci, i nikt ich nie będzie bił po dupie za byle co. Rozumiał ich pan Daszyński, ale czy będzie chciał zrozumieć Piłsudski? Socjalista z Bożej łaski skumał się z panami, ale chłopci i robotnicy przypomną mu jeszcze o sobie. A jak będzie trzeba – a niechybnie trzeba będzie! – to i o sile chłopskiego kułaka.

Ciche rozmowy przy tytoniu ustępowały coraz bardziej podniezionym głosem. Od grupy odłączyło się dwóch mężczyzn, jakby chcieli zajrzeć za horyzont albo po prostu w spokoju o czymś zadecydować. Obaj wyróżniali się strojem – jeden miał na sobie wojskowy mundur z żółtymi wyłogami na kołnierzu i oficerki. Drugi, tęższy, pod płaszczem nosił sutannę. Dłuższą chwilę patrzyli przed siebie, padło parę słów, w końcu odwrócili się do ludzi. Niecierpliwy tumult narastał.

– Niech ksiądz coś do nich powie – głośniejsze rzucił ten w mundurze. – Wie ksiądz, że oni zawsze księdza słuchają.

– Dobrze. – Kapłan zrobił jeszcze jeden krok w stronę zgromadzonych, podniósł rękę i głosy ucichły. Zaczął jak zwykle: – Żołnierze! Robotnicy! I ty, biedoto chłopska! – I mówił o nich i o ich walce, o sobie, o Polsce. I o Chrystusie, który stał pośród nich, ale Ten prawdziwy, nie pański, nie hrabiowski, tylko ich, cierpiący, obejmujący każdego.

– Zaświtał wreszcie dla nas wszystkich dzień wyzwolenia, swobody, porachunku za tyle krzywd doznanych, za tyle poniewierania godności, za tyle wyzysku ciebie, chłopie polski, który, jakkolwiek jesteś krwią, siłą i mózgiem tej ziemi, poniewierany byłeś i poniżany... Precz z jaśnie wielmożnymi dziedzicami, precz z utracjuszami, tyś powinien zamieszkać w tych pałacach! Ty, chłopie, ty, robotniku, odetchnij dziś całą piersią, bo odtąd tobie kłaniać się będzie twój ciemiężca, odtąd drzeć będzie przed tobą!

I dodał jeszcze głośniejsze, bo było akurat południe:

– Właśnie dzwonią, ale już nie na Anioł Pański, ale na nasz Anioł Chłopski!

Przerwał, ale nie przez kościelne dzwony, nagle dało się bowiem słyszeć terkot zbliżających się silników. Odwrócił się w tamtą stronę. Zza pagórka wyłoniły się najpierw trzy motocykle, potem wóz opancerzony, wreszcie ponad setka regularnego wojska. Zatrzymali się w słusznej odległości. Po dłuższej chwili dowodzący kapitan przez tubę ogłosił, że zgromadzenie jest nielegalne i że lepiej, żeby wszyscy po dobroci rozeszli się do domów. W odpowiedzi oficer usłyszał kilka grubszych przekleństw, w kierunku żołnierzy poleciał jakiś kamień, zgromadzony tłum zaczął szemrać i drgać, jak wielkie ludzkie mrowisko. Wszyscy patrzyli teraz na tego w mundurze i na księdza, który przed chwilą, zamiast o życiu wiecznym, opowiadał im o ziemskiej sprawiedliwości dla chłopów i dla panów.

Ksiądz był młody i odważny, nie bał się śmierci ani wojewody, dlatego jako pierwszy ruszył w stronę kapitana. Może chciał po dobroci przedstawić rację buntowników, może powtórzyć dzisiejsze kazanie, które wydawało mu się wyjątkowo udane? Tłum ruszył za nim i wtedy padły strzały. Nie w powietrze, bo przecież w trudnych czasach szkoda było cennej amunicji, ale po prostu, do ludzi. Strzałów nie było dużo, kilka, kilkanaście, na więcej nie było rozkazu, celne niecelne, nie było jeszcze wiadomo. Chłopi popadali na śnieg, trochę ze strachu, część leżała nieruchomo, ktoś związał się z bólu. Ci bardziej z tyłu rzucili się do ucieczki przed funkcjonariuszami pańskiej Polski, która właśnie ruszyła do szturm.

Pierwszego dopadli księdza, gramolącego się z kolan. Nie był ranny, zwyczajowe kopniaki także mu darowano. Na szczęście rewolwer zdążył wcześniej odrzucić w krzaki.

Warszawa, 17 sierpnia 1920 r.

Szedł powoli, uważnie patrząc pod nogi. Wolski bruk uczył uważności, wolskie podwórka przydawały rozważli i taktu.

Z Tylnej Obozowej skręcił w Młynarską, minął Powązki i dwa kacerskie cmentarzyki. Kiedyś przy każdym z nich przeżegnałby się i zmówił modlitwę za zmarłych, teraz pomyślał o kilku towarzyszach, których udało się tam pochować. *Requiem aeternam dona eis, Domine...* Wolski bruk zadudnił, dwóch podrostków minęło

go, biegnąc, jeden jakby specjalnie zahaczył o walizkę. Idący stracił równowagę, o mały włos się nie przewrócił, ale walizki nie puścił. Tamci zatrzymali się kilka kroków dalej, szczerząc się szyderczo.

– A co tam, panie cacany, niesiecie w tej walizie? Może pomóc?

– Pewnie zaciukał jakiegoś frajera, pokroił na salceson i teraz niesie na cmentarz. Daj pan popatrzeć, nie bądź frant.

Zaczęli się do niego zbliżać, ich twarze robiły się doroślejsze, groźniejsze.

– A najsamprzód wyskakuj, frajerze, z floty, to ci może ten futerał z truposzem podarujemy, no już!

Czy jeden z nich miał nóż, czy tylko mu się wydawało? To bez znaczenia, nie miał ochoty na takie konwersacje, chciał się szybko znaleźć jak najdalej.

– Słuchajcie, obszczyturki, szorujcie stąd, bo mamusia już pewnie w domku kaszkę z mleczkiem zrobiła. A jak się nie podoba, to ze skargą do towarzysza Emila, dobra? I powiedzcie, żeście na rejonie jego kuzynowi walizę skroili, na pewno wam podziękuję. Zrozumiano? No, to dobrze. A teraz w tył zwrot i naprzód marsz, bo zaraz sam się do Emila pofatyguję.

Na „czerwonej” Woli bardziej niż gdzie indziej liczyło się to, od kogo jesteście i kogo znasz.

– Dobra, dobra, po co ta mowa? Trzeba było od razu, że szanowny pan od Emila. A może dryndę panu zawołać? Tu zaraz przy Tatarskiej mam wujaszka dryndziarza.

– Nie trzeba, dzisiaj zażyję trochę ruchu. A wy spadajcie, ale już! Poszli.

Skręcił w lewo w Leszno i szedł dalej w stronę Śródmieścia, tak jak pierwszomajowo szły gwiazdździe grupy robotniczych pochodów. Zamykał oczy i słyszał gwar rozentuzjasmowanego tłumu, przejmujący śpiew o wyklętym ludu ziemi, który miał powstać. Ale nie powstanie, będą tak śpiewać całe dziesięciolecia, lecz rewolucja już się skończyła, a ta, która miała nadejść ze Wschodu – przegrała. Została tylko ucieczka, śmierć albo rezygnacja. On wybrał to pierwsze, nie mógł inaczej.

Z Leszna skręcił w Żelazną, powoli kończyła się żydowska Dzielnica Północna. Kwestie narodowe nigdy nie miały dla niego znaczenia, rewolucja miała przecież wszystkich wyzwolić. Polak, Żyd czy Ruski, wszyscy musieli walczyć z tym samym wyzyskiem

i tą samą przemocą. Wrogiem polskiego chłopca i robotnika nie był starozakonny sąsiad, tylko wielkopański obszarnek albo fabrykant. Tuchaczewski z Budionnym mieli tamtych zgnieść bez względu na nację, odprawić do historii, gdzie ich miejsce. A jednak to obszarnek z fabrykantem triumfują, krwiopijcy, taka ich mać. Nigdy nie przeklinał, ale teraz...

Nagle poczuł klepięcie w plecy.

– Mietek, to ty? Kopę lat!

Stał przed nim uśmiechnięty ksiądz w sutannie, prawie takiej samej jak ta w walizce. Staszek Gawroński, a właściwie ksiądz Stanisław Gawroński herbu Rawicz. Byli razem w seminarium w Przemyślu, przez moment nawet mieszkali w tym samym pokoju. Bardzo go lubił, Staszek był zawsze wesoły, rzucał dowcipami i był skory do żartów nawet w Wielki Piątek. Po seminarium kontakt im się urwał, Staszek wyjechał do Rzymu, miał tam jakiegoś stryja, który dbał o bratanka. A potem wiadomo...

– Mietek, co tam u ciebie? – spytał uśmiechnięty od ucha do ucha Gawroński. Uściskał go jak za dawnych lat, on oddał uścisk jakoś słabiej, chociaż był przecież silniejszy. – No, poprawiłeś się, kolego. Musi ci się niezgorzej powodzić, co? A gdzie sutanna? To tu, w Warszawie, się teraz chodzi bez mundurów? Przecież jest wojna? – I zaśmiał się ze swojego żartu tym samym zaraźliwym śmiechem, który Mietek tak lubił. Kiedyś.

– Wiesz, u mnie wszystko w najlepszym porządku. Przyjechałem do Warszawy właściwie na krótko, ale teraz wojna, sam rozumiesz... A ty? Czy nie powinienes aby być w Rzymie?

– Niedawno wróciłem – znowu zaśmiał się Staszek – skończyłem studia i trochę pobrylowałem na papieskich salonach, ale to nie dla mnie. Ja muszę do Polski. A teraz jeszcze ci bolszewicy, wojna... Najświętsza Paniienka ma nas w swojej opiece, prawda, Mietku, sam powiedz? Ty zawsze miałeś Ją w szczególnym upodobaniu, no, powiedz?

– Tak, oczywiście – przyznał jakby niechętnie. Staszek najwyraźniej o niczym nie wiedział, o sprawie jakiegoś tam księdza Mieczysława Ryby nie pisano przecież w gazetach. Wszystko załatwiono po kościelnemu, po cichu, jak to oni. – Tak, oczywiście – powtórzył. I zaraz zmienił temat: – A w Warszawie gdzie się w ogóle podziewasz?

– Mówię ci, jestem tu od niedawna – tłumaczył Gawroński.
– Ale po tym całym Rzymie polecono mnie kardynałowi Kakowskiemu i pracuję u jego eminencji. Wojna wojną, ale pracy mamy jeszcze więcej. Kardynał człowiek odważny, wiesz, nie wyjechał z Warszawy, innym też zabronił, no to pracujemy. Nawet teraz idę na Miodową, od samego rana mamy jakieś oficjałki.

„Kardynałowi Kakowskiemu...” Ryba zbladł na to dawno nie-słyszane, ale jakże zniechęcone nazwisko. Starał się zapanować nad sobą, ale targnęła nim taka emocja, że zachwiał się i prawie upadł. Podparł się na walizie.

– Mietek, co ci? – przestraszył się Gawroński. Podtrzymał kolegę ramieniem. – Zobacz, tu jest zaraz apteka, może ci co potrzebne, źle wyglądasz.

– Nie, nic to, już mi lepiej, trochę ostatnio chorowałem. Zresztą czas na mnie, mam pogrzeb na Ochocie – skłamał niepewnie – to kawałek drogi. Muszę iść, Staszku.

– Ale spotkamy się jeszcze, prawda? Tak bardzo się do ciebie stęskniłem! Chciałem pisać, ale bez adresu nie było sensu. Spotkamy się, powiedz, Mietku? Tak bardzo bym chciał! Słuchaj, a może jutro w Radzyminie? Wiem, wiem, to trochę niepoważne zaproszenie, no i daleko – znowu się zaśmiał – ale z jego eminencją mamy jutro z samego rana odwiedzić żołnierzy z pierwszej linii okopów. Mało kto o tym wie, tak więc cicho sza, ale ty przecież jesteś swój. Przedstawię cię, komu trzeba, może trochę łatwiej byłoby ci w tej Warszawie, co? – Uśmiechnął się na zachętę, jakby okopy to było coś wesołego, a może dla tego paniczka z Rzymu było naprawdę zabawne, że tu, na Wschodzie, daleko od Wiecznego Miasta, była sobie jakaś wojenka? I że Najświętsza Panienska pokonała „bolszewicką zarazę”, która właśnie takim pańskim synkom miała pokazać miejsce w nowym szyku?

„Nie pokazała i nie pokaże, niestety”, pomyślał, a na głos tylko powiedział zaskakująco mocno:

– Będę. – Bo nagle coś zakołatało mu w głowie, poczuł się jakby silniejszy i weselszy. Zmusił się nawet do uśmiechu. – Staszku, jutro spotkamy się w tym twoim Radzyminie, ale teraz naprawdę muszę już lecieć. Z Panem Bogiem! – rzucił z przyzwyczajenia.

– Z Panem Bogiem, Mietku. Tylko nie zapomnij jutro o sutannie, bo eminencja na takie księżę fanaberie patrzy surowym

okiem. Powiem ci zresztą, że i mnie też to jakoś wygląda nie najlepiej, na wojnie ze Złym trzeba nosić mundur, pamiętasz, jak nam mówili w seminarium?

– Zgoda, zgoda, jutro się postaram. Będę o wszystkim pamiętał.
– Uścisnął dłoń koledze i ruszył dalej Wolską. „Będę o wszystkim pamiętał”, tak powiedział. A przecież dobrze pamiętał o wszystkim przez cały czas. O sztubackich żartach ze Staszkiem, na myśl o których nie potrafił się nie uśmiechnąć. O święceniach, które dodały im obu skrzydeł, chcieli zbawić cały świat, to było wtedy ich jedyne marzenie i sens życia. Pamiętał o prymicji i dumnej, trochę speszonej rodzinie, o tej chwili, kiedy rodzona matka przyjęła eucharystycznego Chrystusa z rąk jedyne go syna. A po Mszy świętej objęła go i przytuliła, patrząc na niego tak, jakby to on sam był tym Chrystusem. Nigdy tego spojrzenia nie zapomni.

Ale jeszcze lepiej pamiętał ten dzień, kiedy oderwano go siłą od tego samego Chrystusa. Straszne słowa „suspensa” i „depozycja” w jego przypadku oznaczały niesprawiedliwą karę za miłość do człowieka. Było zemstą pańskiej Polski nad Polską chłopską, zemstą ludzi bez serca nad gorejącymi sercami. I wszystko przez Kakowskiego. Najpierw donos starosty, potem skarga proboszcza, strzelanina w Tarnobrzegu, areszt i wyrok. Tam, gdzie innym wybaczało się tak wiele, jego postanowiono przykładnie ukarać. „Chłopskiego radykała”, mówiono. A zamiast „proszę księdza” słyszał wciąż – „bolszewik”. Areszt nie był ani długi, ani taki straszny, ale wydalenie ze stanu kapłańskiego było ciosem, z którego matka się już nie podniosła. No i jeszcze Hanka. Najpierw tylko gospodyni na plebanii, a potem...

Skręcił w Żelazną, zatrzymał się przed zamkniętą jeszcze o tej porze cukiernią, przejrzał w szybie. Co ona w nim widziała? Był wtedy co prawda młodszy, szczuplejszy, ale był też księdzem. A ona tego księdza pokochała, bo zalewajka i czyste buty to na plebanii nie wszystko. Bo poza Panem Jezusem i chłopską sprawą byli też mężczyzna i kobieta, którymi stworzył ich Bóg. Złemu oku to widać przeszkadzało, takich nie brakuje. „Życzliwy” liścik do arcybiskupa, znienacka wizytacja, i już było wiadomo. Koniec marzeń o spokojnej pracy duszpasterza, wezwanie na dywanik, okropna rozmowa z księdzem kanonikiem, wreszcie sąd. Wyrok nie mógł być inny, zrozumiał to zaraz po spotkaniu z wysłan-

nikiem arcybiskupa, który badał całą sprawę. Pytania, które padały, zawierały gotowe odpowiedzi. Czemu zajmuje się polityką, zamiast głosić Królestwo Niebeskie? Tak jakby księża nie szli teraz do Sejmu i nie bronili tam reakcyjnej władzy. Czy jest „bolszewikiem”? Bo przecież każdy, kto upomina się o prawa chłopca czy robotnika, to musowo „bolszewik”. No i jeszcze pytania o Hankę. I jego odpowiedź rzucona arcybiskupowi prosto w twarz, odpowiedź, po której nie miał już czego szukać w jego diecezji.

A Hanka niedawno mu się śniła. Była poważna, nawet smutna, ale w oczach miała tyle miłości... Szła ku niemu, była coraz bliżej, ale wtedy jakby niebo ktoś przesłonił, zrobiło się ciemno, przestał ją widzieć, ruszył w tamtym kierunku, wyciągnął ręce, wtem nagle błysnął piorun i koniec, obudził się zlany potem. Zresztą ostatnio w ogóle jakby gorzej sypiał.

Czy tak powinna wyglądać sprawiedliwość? Ilu księży żyło z babami... Nawet w seminarium uczył ich taki ksiądz profesor, który parafii wprawdzie nie miał, ale gospodynie takie, że do opery z nimi chodził, zgorszenie czynił i nikt go przed żaden sąd biskupi nie ciągał. A Hanka była honorna, po wyroku nic nie powiedziała, pomogła tylko spakować rzeczy i wyszła, na chwilę, z plebanii. A na drugi dzień, kiedy wyłowili ją z rzeki, jego już tam nie było, bo proboszcz nastraszył chłopów i prawie siłą doprowadzili go na stację kolejową. Grób Haneczki odnalazł dopiero parę miesięcy później, na cmentarzu w miasteczku obok, mały, skromny, jak ona sama. Pomodlił się i szybko odszedł, niepewny sąsiedzkiej reakcji. Wtedy jeszcze wierzył, że z Bożą pomocą wszystko uda się odwrócić, że odwołanie do Rzymu i Ojca Świętego ma sens, a sprawiedliwość zatriumfuje. Ale najwyraźniej łapy Kakowskiego sięgały nawet do *Sancta Sedes*, w jego sprawie pociągał za wszystkie sznurki. „Czy długo, to się jeszcze okaże”, pomyślał.

Radzymin, 18 sierpnia 1920 r.

Na placu powoli zbierali się ludzie, najwyraźniej zapowiadany przez księdza Gawrońskiego sekret był jedynie tajemnicą poliszy-nela. Ciekawscy chcieli zobaczyć wielkich generałów, no i samego kardynała. Nie zostawił Warszawy, jak inni, był z nimi przez cały czas w najtrudniejszych chwilach, za to go kochali.

Kardynał Kakowski wyszedł z kościoła pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego, zatrzymał się na chwilę przed potężną bryłą świątyni, odcinającą się na tle jasnego nieba. „I czerwoni bezbożnicy nie dali jej rady...”, pomyślał, i zaraz dopowiedział sobie: „...ani też nam wszystkim”. Proboszcz pokazał mu kilka miejsc, w które trafiły nieprzyjacielskie pociski, nie było tego dużo. Kakowski uśmiechnął się i odwrócił do stojącego obok niego biskupa Stanisława Galla.

– Obronione kościoły to obroniona Polska, księżo biskupie. Matko Najświętsza, kiedy tak pomyślę, jak to wszystko mogło się skończyć... No, ale Opatrzność Boska czuwa, chodźmy.

Na rynku, pod osłoną murowanej szopy, stali już żołnierze. Generał Józef Haller, dowódca Frontu Północnego, miał dzisiaj wręczyć zasłużonym pierwsze Ordery Virtuti Militari. Spod kościoła ruszył kardynalski orszak, hierarchom towarzyszył miejscowy proboszcz, ksiądz Aleksander Kobyliński, i jeszcze kilku młodszych kapłanów. Kardynał szedł z przodu, władczy i potężny, jak na interreksa przystało, ale przecież równocześnie łagodny i skromny, i wiedzieli o tym wszyscy, którzy go znali, jakby był najmniej ważnym księdzem z jakiejś małej mazowieckiej parafii. Szedł wolno i dostojnie, ale nie dlatego, że ciążyły mu sprawowane urzędy. Nie lubił się spieszyć, do tego chciał popatrzeć przez chwilę na scenę, w której zaraz przyjdzie mu wziąć udział.

Na miejscu zebrał się spory tłumek, wojska nie było dużo, ale na kardynała czekali już generałowie Haller z Żeligowskim. Stali obok grupki wskazanych do odznaczenia, byli tam także przedstawiciele misji francuskiej, trochę miejscowej ludności, no i oczywiście nie wiadomo skąd dziennikarze z Warszawy. Była też orkiestra strażacka, której zażyczył sobie burmistrz, grali w niej chyba najstarsi strażacy na świecie, bo wszyscy młodszy z Radzimina na ochotnika zgłosili się do armii.

Widząc zbliżającego się kardynała, orkiestra na znak zaczęła grać *Boże, coś Polskę*, głośno i równo, jakby starzy muzykanci chcieli udowodnić, że nie są wcale gorsi od zmobilizowanych kolegów, jeszcze się do czegoś nadają. Generał Haller podał komendę „Bacność!”, przywitał kardynała, znali się dobrze.

Niewiele osób zwróciło uwagę, że do grupy księży dołączył jeszcze jeden, w czarnej sutannie, przywitał się porozumiewaw-

czo z drugim, a po chwili zaczął powoli przesuwac się w stronę Kakowskiego. Wyglądało to tak, jakby chciał lepiej słyszeć, o czym tamten będzie mówił, ale uważny obserwator dostrzegłby, że z rękawa wyciągnął nieduży, podłużny przedmiot i z nim kierował się ku kardynałowi.

Wtem stanął jak wryty, bo wydało mu się, że wśród zebranych ludzi widzi znajomą twarz. Ale to przecież niemożliwe, musiało mu się przywidzieć, Hanka nie żyje, a jednak to chyba ona, trochę smutna, lecz patrzy na niego, i podoba mu się to spojrzenie. Musi do niej podejść, upewnić się. Na chwilę zapomniał, po co tu przyszedł, ruszył w jej stronę i nagle poczuł na sobie wzrok Kakowskiego. Znienawidzonego hierarchy, przyczyny wszystkich jego klęsk i upokorzeń. Zawisł nad nim jak chmura gradowa, patrzył poważnie i przenikliwie zza okrągłych okularów, po chwili się odwrócił, bo orkiestra skończyła właśnie grać marsz strzelców kaniowskich. Poznał go? To nie miało już znaczenia. Ryba podniósł rewolwer do strzału i w tym samym momencie poczuł straszliwe uderzenie w głowę. I już nic więcej.

Podporucznik Andrzej Strach z 30. Pułku Strzelców Kaniowskich widział, jak tamten ksiądz upada, jak podbiega do niego inny kapłan, jakaś kobieta, widział nawet leżący na ziemi mały srebrny krzyżyk. Z wieży kościoła Przemienienia Pańskiego widać wszystko jak na dłoni, szczególnie wtedy, gdy się patrzy przez lunetę osadzoną na karabinie Enfield. Ze stu metrów trafiał bezbłędnie w głowę każdego bolszewika, klecha z rewolwerem nie robił mu wielkiej różnicy.

Radzymin, 18 sierpnia 2020 r.

Szli razem przed cmentarz. Cieszył się, że synek chciał przyjechać tu razem z nim; zadaje dużo pytań, chyba zaczyna się interesować historią, jak on w jego wieku.

Powietrze było gorące i duszne. Mały pobiegł przed siebie, stukot małych stóp po betonowych płytach niósł się po całym cmentarzu. „Nie powinien tu biegać, później zwrócę mu uwagę”, pomyślał. „Ale przecież jest jeszcze dzieckiem”, zaraz napomniał sam siebie.

Chłopiec nagle zatrzymał się przy wąskim nagrobku, leżącym obok „Bratnich Mogił”, ale jakby na uboczu, pod cmentarnym

murem, trochę wstydliwie. Zamachał na ojca. Ten podszedł, na płycie zobaczył wyryte nazwisko: „Ś+P XIĄDZ MIECZYŚŁAW RYBA 1888–1920”.

- Tato, a kto to był? Jakiś dzielny ksiądz, jak Ignacy Skorupka?
- Nie wiem, synku, nigdy o nim nie słyszałem. ■

Kalymnos, Grecja, lato 2020 r.